

WYDAWNICTWA ROK PIĄTY.



NA BELWEDER.

(29 listopada 1830 roku)

Drży Warszawa pod bagnetem,
Pod kozackim batem.
Brat tam cara gospodarzy,¹⁾
Co jest kata bratem.

Cały naród w trwodze żyje,
Żyje w poniewierce,
Przecież jeszcze w piersiach bije
Wierne polskie serce.

Chmurne niebo, wietrzne niebo
Nad miastem zagasłem.
Idą, idą ciemne mary,
Zwołują się hasłem...

Jak huragan w pałac wpadli.
Drżą szpiedzy wybladli,
Biegnie ksiązę wystraszony
Do komnat swej żony,

Tam z ukrycia napad słyszy,
W strachu ledwo dyszy;

¹⁾ Ksiązę Konstanty.

Tylko żona go zbawiła,
Która Polką była.

Na kobietę młodzież nasza
Nie chce wznieść pałasza...
— Żyj do czasu, książę srogi,
Wśród hańby i trwogi! —

O ty szkoło podchorążych,
O wy serca młode,
Wy się pierwsi w bój rzucili
Za kraju swobodę!

O ty mężny Nabelaku,
Ty Wysocki dzielny,
Wyście pierwsi dali hasło
Na bój nieśmiertelny!

MARJA KONOPNICKA.



Napad uczniów szkoły podchorążych na Belweder w noc
29 listopada 1830 roku.

BÓJ O OLSZYNKĘ GROCHOWSKĄ.

Podczas powstania 1831 roku.

Wojska rosyjskie formują się w otwartem polu i idą na Olszynkę.

Zahuczało w lasku od strzałów, krzyków i jęków, zawrzała walka, ale trwała niedługo, bo Rosjanie, nie mogąc wytrzymać natarczywości obrońców, cofnęli się w nieładzie.

Miotła się na ten widok Dybicz i nakazuje nowe potężniejsze uderzenie.

Rusza teraz do boju dywizja Pahlena, brygada karabinierów, kilkadziesiąt dział artylerji konnej rozpoczyna ogień morderczy i wojska rosyjskie, uszykowane w półkole, a prowadzone przez najmężniejszych w armji generałów Tolla i Neuhardta, idą zemścić się za doznane porażki i wyrzucić Polakom Olszynkę.

Żymirski patrzy nieulekłym wzrokiem na zbliżającą się nawałnicę, pod grądem kul przebiega przerzedzone szeregi i wzywa je do zaciętej obrony, gdy wtem kula armatnia urywa mu ramię i śmiertelnie rannego ciska o ziemię. Żymirskiego unoszą z pola, a żołnierze, wyczerpani walką, co gorsza, pozbawieni komendy, nie mogą się oprzeć ogarniającej ich burzy i opuszczają pełną trupów Olszynkę.

Widzi to Chłopicki i zrywa się do skoku, bo teraz kolej na ataki wojsk polskich.

Skrzynecki otrzymuje rozkaz odebrania lewej strony lasku, a prawą mają zdobyć grenadjerzy.

Na widok wspaniałej i pewnej siebie postawy wodza zapal ogarnął grenadjerów.

— Niech żyje Chłopicki!—Niech żyje dyktator!—poczęto wołać dokoła i jakiś nowy duch i nowe męstwo wstąpiło w serca.

A Chłopicki stanął na czele jednego bataljonu, dwa inne powierzył Prądyńskiemu i Milbergowi, poczem szpicrutą wskazał Olszynkę i krzyknął grzmiącym głosem.

— Tam! tam!

Jak lwy ruszają grenadjerzy we wskazanym kierunku. Z piersi ich dobywa się pieśń legionów i grzmi tak głośno, że nie głuszy jej ryk armat, ani odgłos bębnow.

— Jeszcze Polska nie zginęła—huczy w przestworzach, i hufce, wiedzione przez Chłopickiego, wkraczą na pole walki groźne

i straszne, dyszące żądzą boju i zwycięstwa. A gdy wchodziły do lasku, naraz jakby, na umówiony sygnał, czterdzięć armat z obu stron zagrzmiało. Przerażający huk wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała od walących się na nią kul i kartaczy, a od kłębow dymu niebo pociemniało. Zastąpiły grenadjerom drogę kolumny nieprzyjacielskie, ale, przełamane w jednej chwili, ustąpiły z p



Bój o Olszynkę Grochowską.

Lecz oto nowe siły gromadzą dowódcy rosyjscy i wzmagają się walka zażarta, a choć z obu stron gęsto trup pada, grenadjerzy wciąż posuwają się naprzód. Chłopicki, widzialny jak sztandar dla obu wojsk walczących, pierwszy idzie w odmet śmierci i porywa za sobą szeregi. Płaszcz generała poszarpały kule, dwa konie pod nim ubito, ale on [nie zważa na nic i niczem nie wzruszony do nowych czynów wzywa swoich żołnierzy, i krok za krokiem oczyszczając Olszynkę, wymiata z niej nieprzyjaciela.

ARTUR ŚLIWIŃSKI.

„Powstanie listopadowe“.



LIŚCIE JESIENNE.

Był to jeden z ostatnich pięknych dni jesiennych. Na czerniejących gałęziach drzew złościły się gdzieś tam ledwie już trzymające się liści. W powietrzu pachniało wilgotną ziemią i zwiędłym listowiem.

Stach włókł się powoli, czapkę w tył głowy zsunął, książki rzemieniem związane pod pachę wcisnął, nogami rozrzucał zeschnięte liście, które podchwytywane wiatrem z cichym szmerem wirowały po ziemi. Dzisiaj po lekcjach miał Stach znowu „rozmowę” z nauczycielem. Rozmowa taka, podczas której nauczyciel trzymał rękę na ramieniu Stacha i patrząc w oczy mówił różne przyjemne i mniej przyjemne rzeczy, kończyła się zawsze kilkudniowym smutkiem i zadumą u Stacha. Kajał się w głębi duszy i przyrzekał sam sobie niezłomnie—poprawę. Potem powoli znów wracał do „dzikich pomysłów”.

Stach wszedł w podwórze, na schody i dopiero otwarte drzwi mieszkania przypominały mu, że przyszedł do domu.

Z mieszkania dobywały się kłęby pary i przykry zapach gotującej się bielizny. Z tej pary i wigotnego powietrza doszedł go zmęczony i rozgniewany głos matki.

— I czegoś leziesz, jak nie przymierzając zółw z tej szkoły? Nie wiesz to, że czekam z obiadem? — Idź zjedz, jedzenie stoi na kuchni — dodała łagodniej.

Na widok kapuśniaku z kartoflami, Stach zapomniał na chwilę o swej zgryzocie i jadł, nie odrywając się od rynki.

Spojrzała matka przelotnie raz i drugi na zaróżowione policzki chłopca, wyprostowała zgarbione plecy, twarz otarła fartuchem i powiedziała na wpół z prośbą.

— Weźmij Zośkę, idź z nią trochę na dwór. Siedzi to w zadruchu i marynuje się.

— Utrapienie ta Zośka! — mruknął Stach. Tymczasem „utrapienie” otulało się już w długą matczyną chustkę i wielkimi niebieskimi oczami patrzyło tak ufnie na Stacha, że nie sposób było się wykręcić.

Idą. Obok dużego Stacha drepcze na małych nóżkach Zośka i dla pewności trzyma się pełną garstką jego kapoty. Idą i milczą, bo jakże gadać z Zośką, która niewiele słów umie mówić. Znów wraca do Stacha fala wspomnień, zaczyna więc szczerze zupełnie postanawiać: — Już nigdy nie będę bił kolegów, nie będę gwizdał w czasie lekcji, nie dam już ani jednego kuksańca chłopcom siedzącym obok; ani jednej walki na pięście, ani jednego napadu „dzikich” na malców z pierwszej klasy, nic, nic... „praca”; powaga! — Tak postanawia i tak będzie.

W zamyśleniu zeszedł Stach z drogi, którą wędrowali z Zośką i znalazł się między dziko rosnącymi grupami drzew. Poprzez nagie gałęzie jaskrawo padało słońce na złocącą się opadłymi liśćmi ziemię. Zośka, nie puszczając Stachowej kapoty, szła, patrząc w górę i rozchyloną buzią wdychała mocne jesienne powietrze. Maleńkie stopki Zosi dreptały coraz wolniej, wolniej, wreszcie potknęła się i aby nie upaść schwyciła obiema garstkami kapotę Stacha.

— Utrapienie z dzieciakiem! — mruknął Stach zły, że mu przerwano „szlachetne postanowienia“. Ale zaraz mu się zrobiło żal Zośki. Spojrzał na jej maleńką figurkę i porwany nagłą czułością, wziął dziecko na rękę.

— Nazbierać Ci liści, chcesz?

— Chcesz — odpowiedziała zgodnie Zośka. Zaczęli zbierać złote, czerwone piękne liście klonowe i wić z nich girlandy. Zośka miała już piękną koronę na główce, i pas, i szarfę przez ramię i na rączkach bransoletki z liści — Bała się poruszyć, żeby tych piękności nie stracić — Szła wolno, poważnie za Stachem. Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi i nagle jakoś zagasło. Zaraz zaczął się chłód i wieczór.

— Ziiiimno! — powiedziała Zośka, i rzeczywiście miała bladą buzię i zaczerwieniony nosek.

— Utrapienie z dzieciakami — znów mruknął Stach, ale z wielką czułością owinął Zośkę mocno w maminą chustkę, wziął „na barana“ i poniósł do domu.

Po drodze przytulona do Stacha Zośka zasnęła, oparłszy mu główkę na ramieniu, a gdy matka z rąk chłopca odebrała dziecko, spadały girlandy liści i świeciły jeszcze złotem w mroku izby.

— Nie ruszaj, nie ruszaj — szeptała przez sen Zośka.

— Posprzątaj to śmiecie, — gderała matka — dopiero co izbę zamiotłam.

Stach zebrał liście i schował Zośce do pudełka. — Będzie się jutro bawiła — pomyślał.

A na drugi dzień rzewnie płakała maleńka, bo znalazła w pudełku pokurczone, zwiędłe i szerniałe swe piękne stroje.

Tydzień upłynął od tego dnia, gdy Stach znów stał przed nauczycielem ze spuszczoną głową i słuchał gorzkich wyrzutów za „wspañie zorganizowany“ szturm do klasy, gdzie pokazywano przezrocza...

Gdzież się podziały szlachetne postanowienia?

Czyżby zwiędły i zimniały, jak liście jesienne?

STEFANJA BACZYŃSKA.

PIOSENKI.

Raz wraz szczękał skobelek i drzwi otwierały się, skrzypiąc przeraźliwie. Do izby wpadał wiatr, podnosił bibułkowe ozdoby przy obrazach, poruszał pająkiem, zawieszonym u pułapu i, myszkując po kątach, gdzieś przepadał. A drzwi, jakby bojąc się wypuszczać drogocenne ciepło, wyrzywały się z rąk otwierających je dziewczyn i zamykały się z hukiem.

— A to ci wichrzysko! Mało głowy nie urwie!

— Pewno—twoją leciuchną, to i wiatr unieść potrafi!

— A twoja taka od rozumu ciężka, że ją ledwo udźwignąć możesz, co?—przekomarzały się dziewczęta, wchodząc do izby.

— Głowę, jak głowę, ale kądziel wyrwał Małgosi wiatr z ręki i musiała ją gonić, het, po błocku!—zanosząc się od śmiechu opowiadała czarna Anka od Mateńków.

— Do przezywek i śmiechów — pierwsze, a Pana Boga pochwalić nie umieją — karcąco odezwała się poważna Józefka.

Dziewczęta zawstydzone kolejno podchodziły do babci i, szepcząc cicho „Pochwalony“, całowały ją w rękę.

Potem porozsiadały się na ławkach i zabrały się do ładowania kólek. Bo to jednej spadł sznurek, drugiej szpulka się zacięła ot, zwyczajnie jak to przy kółku.

Tymczasem babcia zapaliła lampkę i zaraz w izbie rozległo się, jakby mruczenie dziesięciu kotów: to wrzeczono babci i dziewczęć kólek dziewcząt śpiewało swoją monotonną piosenkę.

Na ziemi przed piecem siedział Kazik. Zwykle lubił on bardzo przyglądać się leciuchnemu tańcowi wrzeciona; biegło ono od babcinej ręki do ziemi i, nie dotykając jej, znów szło z powrotem. Ale dziś przycupnął przed otwartymi drzwiczkami pieca i patrzył w ogień.

Często tak bywa, że człowiek zapatrzy się na coś, nie widząc nic i nie słysząc, co się wkoło niego dzieje, a gdy się ocknie, zda mu się, że powrócił gdzieś, het, z dalekiego świata.

— Fff — szszuu — zasyczał ogień i wybiegł z komina długim językiem.

— O Jezu,—jęknął ktoś w izbie.

— Kaziu, niech się Kazik odsunie od pieca, bo się odzienie jeszcze zatli.

— A to się wiatr rozhulał, nawet w izbie człowiekowi spokoju nie daje.

Kazik jednak wiedział, że to wcale nie wiatr wygnał ogień na izbę: z otwartych drzwiczek wysunęła się jakaś mała istotka i usiadła obok niego. Ze zdziwieniem przyglądał się chłopiec duszkowi, który, gładząc długie czarne włosy, patrzył mu w oczy uśmiechem.

— Kto ty jesteś?

— Jakto, nie wiesz? Spójrz na moje ubranie. — I duszek jął poprawiać swoją szeleszczącą sukienkę z suchych liści. — Nie poznajesz mnie? Jestem Listopad.

— Ojej, a że się nie spaliłeś w kominie,—szepce z podziwem Kazik, któremu ten sposób wchodzenia do izby ogromnie się podobał.

— No, tobie nie radzę próbować drogi przez komin, ale mnie się przecież ogień nie ima. Zawinę się tylko cały w skrzydła, żeby mi się sukienka z liści nie zatliła i—jazda.

Tu Listopad roztworzył swoje czarne skrzydła i otulił się nimi tak szczelnie, że wyglądał jak kokon, z którego wychodziły nogi i ciemna twarzączka o wydatnym nosie.

— Zapamiętaj to sobie, Kaziku, że my, duszkowie, przebywać możemy wszędzie: woda nas nie zatopi, ogień nie spali, możemy być w ziemi, na ziemi i nad ziemią.

— Ach, szczęśliwi!—szepnął Kazio i już bujał myślą pod obłokami na czarnych skrzydłach Listopada.

— A ludzie to niby nie są szczęśliwi! — zaperzył się duszek. Tylko są tacy niemądrzy, że nie umieją i nie chcą patrzeć i słuchać, widzieć i słyszeć, co wkoło nich jest ładnego i dobrego.

W tej chwili rozległ się w izbie jeden dziewczęcy głos, śpiewający cieniuchno:

— A ty ptaszku, krogulaszku, wysoko latasz...

— Wysoko latasz.

— Powiedz że mi nowineczkę, jaką dla mnie masz—pobiegły za tym głosem inne.

— Dlaczego siedzisz, jak ta wrona osowiała? szepnął Listopad, szturchając w bok Kazika.

— Bo nie lubię tych wieczornic, tych dziewuch i tego ich skrzeczenia—burknął Kazio.

— A widzisz miałem rację, mówiąc, że jesteście niemądrzy! Posłuchaj tylko, jakie ładne są te pieśni.

— Znam je, jak swoją kieszeń:—A ty ptaszku, krogulaszku—przedrzeźniał Kazik dziewczęta. — Przecież one co dzień wkoło to samo śpiewają.

— To tem lepiej, że znasz te piosenki. Potrafisz je lepiej ocenić. Posłuchaj tylko.

— A dziewczęta rozśpiewały się na dobre: płyną melodje wesole i smutne, rzeźkie i powolne. Ledwo jedna piosenka się skończy, wnet któraś z dziewcząt zaczyna inną z pośpiechem, aby jej nikt nie ubiegł, aby zaśpiewać tę właśnie pieśń, która jej dziś najbardziej do duszy przypada.

Powoli, zwabieni śpiewem, wsuwają się chłopcy do izby, stając skupieni w jednym kącie, i oni zaczynają mieszać swe głosy do chóru dziewcząt. Aż wreszcie huknęli rażno:

— Niechaj wesoło zabrzmi nam echo,

Niechaj zabiją w tarabany,

Niech wie świat cały, z jaką uciechą

Idziem, gdzie wódz nasz kochany.

— Marsz księcia Józefa—myśli Kazik. I naraz wydaje mu się jakby słyszał wyraźnie tętent kopyt końskich, bicie bębnow. Jadą ułani! Jeden szereg, drugi, trzeci, a na przedzie na siwym koniku uwija się sam książę Józef, ślicznie ubrany, jak na obrazku w książce do czytania. Hej! kochają go żołnierze! W ogień za nim lecieć gotowi:

— Pójdziemy wszyscy, wierni rycerze,

Pójdziem, gdzie wódz nasz kochany.

Zapomniał Kazik o swej niechęci do wieczornic i pieśni i konczy wesoło z innemi.

— Pójdziem, gdzie wódz nasz kochany.

A potem buchnęło w izbie:—O mój, rozmarynie, rozwijaj się.

Za chwilę Kazik — żołnierz w szarym kabaciku z wyłogami eży na polu bitwy, a śmierć, jakaś taka niewyraźna postać, pochyla się nad nim.

Ale Kazik — chłopiec nie ma czasu roztkwilić się nad sobą zabitym, bo oto już śpiewa wesoło:

— Jestem sobie wo-o-olny,

Jako ptaszek polny,

Wsiadę na koni-i-i-ka

Pojadę do wojny.

Ta piosenka były hasłem ogólnej wesołości. Aż trzęsły się stare dyle babcinej chałupinki od śmiechów i śpiewek. Aż wiatr przycichł i przytulił się do szybek, chcąc podsłuchać, jak to śpiewają o babulince co to „fik mik szwadyrydyrydy mach ciach ciach miała koziołeczka bardzo rozpustnego.

Za „babulinką“ przerywana wybuchami śmiechu pobiegła piosenka, w której dziewczęta wyciągały cieniutko „mój cudowny karafiol“, a chłopcy grubo kończyli: „joł, joł, joł“.

Gdy się potem uciszyło na chwilę odezwał się z kąta poważny głos Mateusza:

— A teraz, kiedy już naśmieliście się i naśpiewali aż wam gardła popuchły, posłuchajcie gazety, którą nam Antek przeczyta. Za chwilę w krążku światła małej lampki stał wysoki, szczupły chłopiec i wolno lecz wyraźnie czytał o tem, co się dzieje na szerokim świecie. Wbiegały wieści do izby i nadśłuchującym w skupieniu opowiadały o dalekich i blizkich ziemiach, o dalekich i blizkich ludziach, o tem jak się oni krzątają, pracują a budują.

— No, co? może nudziłeś się dziś na wieczornicy? — szepce Listopad do Kazia.

— Nie, bardzo było przyjemnie, — odpowiada Kazik sennym głosem.

Chce mówić coś więcej, ale jest taki śpiący. Opiera więc głowę na ramieniu Listopada i — wstyd to przyznać — ale on, jedenastoletni uczeń IV oddziału, zasypia smacznie już tak wcześnie, bo przed kolacją! Przez sen jeszcze uśmiecha się tylko i obejmuje duszka mocniej za szyję.

JERZY DĘBNO.



LISTY OD REDAKCJI.

DO E. KUŚMIERKA. Bardzo ładnie wytłomaczyłeś, dlaczego Ci się podoba odpowiedź № 3 na pytanie o czarodzieju, dlaczego zaś № 4 nie przypada Ci do gustu. O potrzebie muzeów też rozsądnie myślisz. — Wierszyka Twego drukować nie będziemy, ale schowaliśmy go sobie. Czytuj dużo może kiedyś będziesz ładnie wiersze pisał. Za marki na wystawę „Płomyka“ dziękujemy — będą wystawione.

DO DZIECI Z WÓLKI PLEBAŃSKIEJ I KOLONJI LISY. Cieszy nas to, że Wam się „Płomyk podoba“. Piszecie, że słuchacie czytania Pani, siedząc cichutko jak myszki. Czy i nadal tak grzecznie się zachowujecie?

POCIĄG Z 23.000 ROJAMI PSZCZÓŁ. Niedawno przybył do Francji specjalny pociąg z 23-ma tysiącami uli, zawierający tyleż roi pszczół. Pszczoły te są pierwszą ratą odszkodowań w naturze, jakie Niemcy na zasadzie traktatu wersalskiego mają dostarczyć Francji i Belgii.

POMYSŁOWY UCZEŃ. Uczeń jednego z gimnazjów rzymskich—opowiada pismo „Neues Wiener Journal”—pragnąc ułatwić sobie pracę podczas egzaminów piśmiennych, wpadł na niezwykły, prawdziwie nowoczesny pomysł.

Oto, zbudował sobie miniaturowy przyrząd telegrafu iskrowego, złożony z dwu pudełek, z których jedno zawierało przyrząd odbiorczy a drugie — nadawczy. Pierwsze umieścił przy sobie, w szkole, drugie zaś poza szkołą, w umówionem miejscu. W ten sposób mógł zasięgnąć rady i informacji podczas egzaminów, od osoby, z którą był się umówił.

Jeden z nauczycieli odkrył pomysły ten podstęp ucznia. Słynny wynalazca radjotelegrafji, Marconi zaprosił chłopca do siebie. Obejrzawszy zaś miniaturowe przyrządy, tak się zachwycił nowościami tam wprowadzonymi, że przyjął go natychmiast za ucznia swego i współpracownika.

Co myślicie o zdolnościach tego chłopca a co o jego postępkach podczas egzaminu?



ODPOWIEDZI NA ZAGADKI I ZADANIA Z Nr 17—18.

ZAGADKI.

1. Była to fotografia syna tego pana.
2. Owce stały zwrócone pyskiem do siebie.

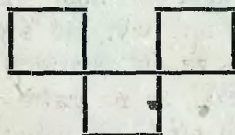
ZADANIA.

1. XXXVI.

2. IV.

3. VI.

4.

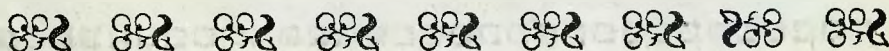


5.



Pierwszy nadesłał dobrą odpowiedź: Wojtuś Krauze.

Zgodnie z obietnicą „Płomyk“ wysłał mu na pamiątkę pocztówkę.



PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA MŁODSZEJ DZİATWY.

□□□□□□□□□□ DODATEK DO „PŁOMYKA” □□□□□□□□□□

P S O T N I K.

— No tak! — Kazio — to ja jestem,
We własnej osobie:
Kazio, który wiecznie psoci,
Zawsze coś przeskrobie.

— Cóż mi się tak przyglądacie,
Moi państwo mili?
Może wyście w swoim życiu
Nigdy nie psocili?

— Nigdy na was nikt nie krzyczał!

— Oj, już przyszło лихо —

— Połóż zaraz ten widelec —

— Proszę siedzieć cicho!

— Nie, doprawdy, że do psoty
Nigdy nie mam chęci,
A już bura... oj, zupełnie
Ona mnie nie nęci...

Jednak zawsze coś takiego
Niechcący się stanie,
Że rozgniewa to mamusię,
To znów siostrę Janię.

— Raz za piecem zobaczyłem
Małą taką szparę —
Ach! Zapewne tu mieszkają
Psotne myszki szare.

Trzebaby je zamknąć chyba,
Gdyż mama mówiła,

Że jej psocą myszki jakieś
I mnie pogroziła...

Cóżem winien, że są psotne
Myszki w naszym domu,
Tego nie wiem...? — A com zrobił...
— Nie mówcie nikomu!

— Miała Hala z obrazkami
Od babci książeczkę —
Pociąłem więc ją w kawałki,
Zatkałem szpareczkę...

— Oj, doprawdy, wstyd mi straszny
Przyznać się do tego...
— Chociaż—wtedy chciałem tylko
Zrobić coś dobrego.



Hala

I tak wiecznie, choć z początku
Mam najlepsze chęci,
Wnet się bieda jakaś stanie
I figiel się wkręci!

To coś stłukę, to rozedrę,
A lalki Janinki,
Te doprawdy, dziwnie jakieś
Smutne mają minki.

— Skądżeż jednak mogłem wiedzieć,
Że ta starsza Róża
Gimnastyki tak nie znosi,
Choć taka już duża!

A Stokrotka—o ta oczy,
Chore jakieś miała!
— Troszkę tylko poruszałem
I... bieda się stała!

— Biedna lalka! zamiast oczek
Ma w głowie dwie dziury...
A wasz Kazio—nie uniknął
Od mamusi bury...

I tak ciągle muszę psocić
I coś broję stale
Że doprawdy nieraz z wstydu
Omal się nie spale...

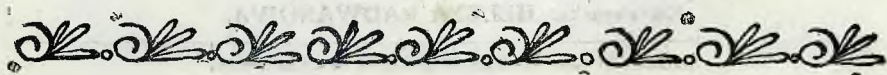


Janinka.

A niech złego w naszym domu
Cośkolwiek się stanie,
Wszyscy na mnie:—Oj, z tym Kaziem
Prawdziwe skaranie!...

— Może kto mi co poradzi
Na tę straszną wadę?
— Proszę bardzo, państwo drodzy,
Dajcie dobrą radę!

JANINA WYSZYŃSKA.



NAKŁADEM NASZEJ KSIĘGARNI

WARSZAWA, WIDOK № 22

WYSZLY NASTĘPUJĄCE

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE:

B SADOWSKA-KLIMKOWA:

JUŻ NADCHODZI ROCZEK NOWY.
MÓJ UPOMINEK. PROMYKI.

SOKOŁOWSKA:

OPOWIADANIE: Z życia zwierząt. Podróż nadpowietrzna
Janka. Co Antoś widział w noc wigi-
lijną. Córka dróżnika. Bolszewik.

KSIEGARNIA POSIADA DUŻY WYBÓR KSIĄŻEK NA GWIAZDKĘ.

PROSIMY O NIEZWŁOCZNE WPLACENIE
ZALEGŁEJ PRENUMERATY.

OPLATĘ ZA I KWARTAŁ R. 1922 PROSIMY
PRZESYLAĆ W PIERWSZYM TYGODNIU STYCZNIA.

TREŚĆ PŁOMYKA: Na Belweder, przez *Marję Konopnicką*. — Bój o Ol-
szynkę, przez *Artura Śliwińskiego*. — Liście jesienne, przez *Stefanję Baczyń-
ską*. — Piosenki, przez *Jerzego Dębno*. — Listy. — Drobiazgi.

TREŚĆ PŁOMYCZKA: Psotnik, przez *Janinę Wyszyńską*.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Rocznie . . .	mk. 800.—		Kwartalnie . . .	mk. 200.—
Półrocznie . . .	„ 400.—		Miesięcznie . . .	„ 100.—

Cena pojedynczego numeru mk. 40.—

Adres redakcji i administracji: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 123.
Administracja otwarta codziennie (prócz niedziel i świąt) od g. 6 do 7 wiecz.
Prenumeratę przyjmują oprócz administracji „Nasza Księgarnia“, ul. Widok 22.

Wydawca: W imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa
Szkół Powszechnych — JÓZEF WŁODARSKI.
Redaktorka: HELENA RADWANOWA.

TŁOČNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, W WARSZAWIE.